

## Dziecko i Błotniki

Mały skraweczek ziemi odseparowany ze wszystkich stron od zgiełku tętniącego życiem „wielkiego miasta”, od ruchliwych ulic, rynków, mas ludzkich. Błotniki stanowiły dla mnie, małego brzdąca, cały znany mi świat. One dla mnie się ciągnęły od prawosławnej Cerkwi przy ulicy Ruskiej, ogrodzonej wysokim murem, aż do małej, kilkuklasowej szkółki, prawdopodobnie przykościelnej, do której przychodzili chłopcy z „dalekiej” ulicy Kalinowszczyzna. Za szkółką ciągnął się duży sad z wspaniałymi owocami, który graniczył z domem – Ruska 46, tam też urodziłem się w suterynie 3-piętrowego „skleconego” domu z drewna, cegieł i gliny, aż po nr 58, koniec Ruskiej.

W tym świątku, zaledwie mieściło się 6 domków, leżących u stóp „gigantycznej” aż do nieba, wysokiej wyżyny „Czwartek” z widocznym na szczycie Seminarium Duchownym. Za naszymi domkami ciągnęła się podwyższona łąka, plac gier naszych błotnickich dzieci, graniczący z rozlewnią piwa, należąca już do Kalinowszczyzny. To był koniec mojej dziecięcej ojczyzny. Po drugiej stronie Cerkwi, ciągnęła się Ruska z niewieloma domami, aż do pola, ciągnącego się od ulicy Jatecznej do ulicy Kalinowszczyzna. Pola te były po drugiej stronie wymienionego sadu i naszych 6-ciu domków. Pola były zagospodarowane przez zakonnice. Rok rocznie, sadzone były kartofle, kapusta i marchew na pewno dla własnych potrzeb. Za tymi polami, naprzeciwko nas ciągnęły się „strasznie” wielkie łąki ze źródłami zimnej wody, aż do starego Kirkutu na Siennej i sąsiedniego Klasztoru.

Tutaj spędziłem najpiękniejsze lata dziecięce i wczesnego młodości z dziećmi sąsiadów, tu ukształtowała się moja osobowość, miłość do mojej małej „ojczyzny” i krajobrazu. Mimo ubóstwa, wyrosło tu rozwinięte pokolenie, z świadomością obowiązków dla tej ziemi.

Rodzice, chyba urodzili się także na Błotnikach. Ojciec miał zawód – szewstwo, a matka pochodziła z rodziny zajmującej się sprzedażą drobiu, w jatkach na rynku. Jako dziecko słyszałem, że rodzina mamy nie zgadzała się by wyszła za mąż za „szewca”, gdyż szewc w ich oczach „głowa smoły”.

A jednak „miłość” wzięła „górze” i po wyjściu za mąż - car zabrał ojca na 4-letnią służbę wojskową, gdzie? Aż w górach Pamiru, na granicy z Afganistanem. Jak się miały skończyć 4-lata służby wybuchła 1-sza wojna światowa.

Dopiero w 1917 r. po wybuchu rewolucji, rozpadnięcia się wojsk carskich, matka dowiedziała się od wracających żołnierzy do Lublina, że ojciec leży ranny w Szpitalu w Carycynie, późniejszy Stalingrad. Kilka miesięcy trwała wędrówka mamy aż dotarła do ojca i zabrała go ze sobą do domu.

Matka przez czas nieobecności ojca pracowała z jej najlepszą koleżanką, córką stróżostwa, przy naszych

małych domkach – Antosią. Ojciec – pod opieką matki szybko wrócił do zdrowia rozpoczął, wraz z czeladnikiem, produkcję obuwia dla sklepów w Lublinie i rejonu lubelskiego.

Pierwsze dziecko co mama urodziła umarło. Tymczasem Polska stała się Polską a mama i tata, jak tysiące innych zostali bez języka...Brak języka w niczym nie przeszkadzał im w prowadzeniu trybu życia jak dotąd ze swoimi, którzy tak samo nie byli obeznani z językiem „państwowym”.

Tym czasem mamy koleżanka Antosia, która wraz z nią i wieloma innymi, zostały bez pracy. Fabryka cygar na Krawieckiej – wraz z odzyskaniem niepodległości – została zlikwidowana i tak, opuszczona, zraniona, stała do 1939 r. <sup>1</sup>

Antosia także się pobrała, objęła stróżostwo po ojcu i równocześnie z mamą w 1919 r. urodziła chłopca, Stasia, a mama mnie. Mama, zatrudniona u jej mamy, „Riwy diabeł” mało miała czasu do opieki nade mną. Opiekę objął ojciec, oraz czeladnik jego „czerwony” Aron i w dodatku, jak Antosia musiała iść do miasta w jej „urzędowych” sprawach zaniósł Stasia do nas do mojej kolebki i zostaliśmy spółnikami do flaszeczki mleka i wody.

Wybuchła wojna z Rosją i znów ojca zabrali do wojska. Mama musiała zostawić jatkę babci i zajmować się mną, a czasem także Stasiem. Wówczas, jak mama opowiadała – głód stał się częstym gościem w domu, a gospodarz mieszkający na 3-cim piętrze straszyl mamę exmisją.

Mając zaledwie kilka miesięcy, w pewien piątkowy, zimowy wieczór – ojciec ukazał się w domu, dostając urlop na kilka godzin. I tak opowiadała mama: Tata wszedł w długim płaszczu, u boku szabla aż do ziemi a w pokoju wszystkie siostry i bracia Mamy, a wodzirejem w izbie jest babcia. Ja śmiertelnie chory na dyfteryt charcząc jak zarzynany prosiak, a tata pyta „Co tu się dzieje?”. Mama mu odpowiada, że trzeba zagotować wodę – a tu Antosi w domu nie ma (widać, że to była noc Wigilijna, czy co innego) i nie ma komu podpalić ognia.. Ojciec się jakby wściekł, wyrwał szablę z pochwy, jakby szedł do „ataku” na wojnie, wrzaskiem przepędził całe „towarzystwo” wbiegł do komórki, narąbał drzewo, podpalił ogień, wodę postawił w kuble i pobiegł do felczera i z „uczty” piątkowej wyrwał go do mnie. Po zabiegu felczer (który dobrze znał „towarzystwo” błotnickie) orzekł, że zagotowana gorąca woda uratowała mi życie. Za to cała rodzinka mamy ogłosiła „brogiez”<sup>2</sup> z tatą, za to, że ośmielił się ogień zapalić w sobotę. Wiele, wiele miesięcy nie rozmawiały z tatą, choć wojna już się skończyła z Rosją, a życie płynęło już normalnym trybem.

Latem, główną opiekunką moją była „Gitel” - kaleka, która mieszkała z rodziną w domku u podnóża wyżyny Czwartek, za naszym domem. Była to rodzina, bez ojca, matka wielu dzieci. Mama Gitel, kobieta 50-cio letnia ubrana jak cyganka. W jej domu przebywali różni grajkowie podwórkowi, skoczkwie, śpiewacy itp. Mama opowiadała, że po wizycie takiej „bandy” mama Gitel (kiedy była młoda) zapadła w ciążę. Gitel była kaleką, przesuwiała się na czworakach. Codziennie jak pająk „kajklowała” się z góry na dół, na chodnik przed naszym piwnicznym oknem, wołając do ojca: „Ł...aaa..j..b R...R.R.u...uw.wen

---

1 Mowa tu o fabryce papierosów należącej do rodziny Krasuckich mieszczącej się przy ulicy Krawieckiej 41.

2 Spór, kłótnia (jid.)

ddda...j dz...dz...i...ee...c...k..o” chrzeszczącym, nie zrozumiałym swoim językiem. W pogodne dni, ojciec wynosił mnie do niej a Gitel ułożyła mnie na swoich pokaleczonych kończynach jak w kolebce. Często trzymała i Stasia, kiedy Antosia była zajęta poza stróżostwem.

Przechodzący ludzie z Kalinowszczyzny nieraz wrzucając grosz do jej puszki, pytali ją kim jest ten czarnowłosy (ja) i ten białowłosy (Staś), czy jesteśmy bliźnięta, a ona swoim językiem próbowała opowiadać do kogo należymy, ale nikt nie miał cierpliwości wysłuchiwać jej „wyjaśnień”.

Błotniki były małym zbiorowiskiem prawdziwej biedoty żydowskiej, żyjącej w takiej ciasnocie, że można było widzieć, co każdy wkłada do garnka i czy w ogóle ma co do garnka włożyć. Z lat dzieciennych pamiętam, jak u piekarza pytano czy został wczorajszy czy przedwczorajszy chleb, gdyż był o wiele tańszy od świeżego.

Słynna faszerowana ryba żydowska, często zrobiona była nie z karpia, szczupaka czy leszcza, lecz z małych, ciupucienkich, malutkich rybek wielkości prawie zapalek. Ale w piątkowe wieczory, można był nawąchać się zapachem faszerowanej ryby, dzięki włożonej cebuli i suchego chleba.

I z tej biedy wyrosły dzieciaki zdrowe, czyste, silnymi zębami do starego, suchego chleba i kości, zakupionych do warzenia zup, w których mnożna było znaleźć kawałeczki mięsa, wielkości główki od zapalek.

Najważniejszą funkcję w domu spełniała słynna „balia” podstawa naszego zdrowia. Oprócz prania, służyła dla dzieciaków, do obrządku piątkowego „oczyszczania” by godnie przyjąć „Królową” soboty. Codziennie, wstając rano, obmywaliśmy się „jednym” palcem i to starczyło na cały dzień.

Podrastając, chodząc już, mogliśmy ze Stasiem obchodzić nasze włości, spotkać takich małych w drugich domkach i nawet przejść na drugą stronę ulicy, gdzie rozpoczęła się ulica Kalinowszczyzna, z większymi domami od naszych, na końcu ulicy Ruskiej.

I tak rozpoczęło się zgrupowanie dzieci 2 i 3 letnich, wspólne zabawy na łączce pod górą i rozpoznawanie naszego małego kraiku „Błotniki”. Tak to stopniowo kształtowała się „słynna” błotnikowa banda, która dała się we znaki „bandom” z Jatecznej, Siennej, aż do „dalekiej” Krawieckiej.

Mając 3 lata, urodziła się moja siostra Masza, za którą wcale nie tęskniłem. Był to dla mnie pewien obowiązek. Zamiast bawić się z rówieśnikami, dostawałem rozkazy od ojca i mamy, bym się opiekował Maszą, zabawiał ją, a na to nie miałem wcale chęci.

Za to Staś, ubóstwiał Maszę i chętnie zrezygnował z zabaw na dworze, z bandą dzieciaków. Staś mówił naszym językiem jak wszystkie nasze dzieciaki, jak moja mama i tata, tak samo Antosia mówiła z sąsiadami naszym językiem.

Natomiast w domu, u siebie, mówiła też z Stasiem swoim, nie znanym mi językiem, a przeważnie kiedy na niego krzyczała. Na ogół, w mojej obecności u Stasia – mówiliśmy wyłącznie naszym językiem.

Ten nieznanym ich język nie interesował mnie, tak samo jak mnie nie interesował inny nieznanym mi język, jakim nieraz mówił tata do mamy, oraz z kolegami taty, z którymi służył u Cara – „carski” język.

Najbardziej lubiałem przysłuchiwać się rozmowom taty z popem z Cerkwii, z którym tata służył razem u Cara, ale był to język inny, aniżeli język Antosi z Stasiem. Były w rozmowie z popem, długie, ciągnące się słowa, zupełnie nie rozumiałem. Ale kiedy pop zwrócił się do mnie – to już moim, rozumiałem mi językiem. Bardzo lubiłem wizyty popa, jego długie włosy, broda no i dziwna czapka. Wizyty te przeważnie były wieczorem, lubiłem patrzeć jak oni herbatę gorącą pili liżąc kawałek cukru i opowiadania, śmiechy aż nie usnąłem.

Mając 4 latka, po świętach, których było wiele, Rosz-haszana, Jom-Kipur oraz 8-mio dniowe Święto Sukot – rozpoczął się okres mojej edukacji, malutki, nie sięgając nawet do stołu w Chederze. Do Chederu zaprowadziła mnie mama więcej nosząc mnie na rękach. Widocznie leniwy byłem tak „daleko” chodzić aż na ulicę Jateczną, nie znaną mi dotychczas, obok ogromnego budynku Synagogi Maharszała i pod ogromną górą, gdzie na szczycie stał ogromny pałac, mówili, że to więzienie, ale to mi nic nie mówiło, gdyż nie wiedziałem, co to znaczy więzienie.

Na podwórku Chederu była masa dzieciaków z matkami, braćmi. Strasznie przestraszył mnie ten tłum, gdyż nie wyobrażałem sobie, że oprócz moich Błotnik istnieją inne miejsca z tyloma dziećmi.

Mama, która widocznie znała Szamesa śmiało weszła do wielkiej izby na parterze ciągnąc mnie za sobą, porozmawiała z Szamesem, a ten uszczypnął mnie w policzek i do mamy rzekł: „W końcu Frajdele tu my z niego zrobimy „a cadyk”.

Szames usadowił mnie wśród dzieci, które już siedziały z dwóch stron długiego stołu, pożegnał mamę – zostałem sam, wystraszony, zgębiony, bez mamy. Po jakimś czasie hałas na dworze stopniowo się uspokoił. Dwóch mełamedim prowadziło pierwsze „klasy” d..... przy dwóch stołach, po 50 dzieciaków, dla których był to pierwszy dzień, poza polami, łąkami, domu, koleżków – wprost obczyzna...

Na wyższych piętrach mieściły się klasy, w których uczono świeckie nauki aż do klasy 4, wraz z naukami Tory, Talmud i inne. Gdy zobaczyłem, jak mełamed mój usadowił się na wielkim drewnianym fotelu, z ogromnym kańczykiem<sup>3</sup> w ręku, wybuchłem strasznym, histerycznym płaczem. Mełamed nie zdołał mnie uspokoić, zbiegli się z biura brodaty ludzie by mnie uspokoić. Jeszcze bardziej się przestraszyłem, gdyż w życiu nie widziałem takiej masy brodatych ludzi. Dopiero Szames, znajomy mamy, słodkimi słówkami, pieszczotą – zdołał mnie uspokoić i więcej na ogromny kańczyk mełameda nie spojrzałem.

Trzymając w ręku tabliczkę z grubą literą mełamed zaczął śpiewnym głosem: „To owieczki moje, jest litera Alef... powtórzyć, kochane koźlątka, Alef, jeszcze raz Alef... jeszcze raz i jeszcze raz... a my, 100 głosików, z dwóch klas, ależkami, barytonami, sopranikami, powtarzamy patrząc na tabliczkę i powtarzamy: „To jest litera Alef”, godzinami.

---

<sup>3</sup> Kańczyk to słowo polskie, choć od rosyjskiego „kańczyg” (bicz, bat etc.). Oznacza różgę, kijaszek do bicia niedobrych dzieci.

Z tego wbicia, wizualnie i wokalnie, litery zostały wbite jak by gwoździami do naszych łebków, na wieki wieków amen. W końcu pierwszego dnia „nauki” byliśmy zmęczeni, główki nam opadły na stół i wyglądaliśmy jak zarżnięte kurczaki. Uderzeniem kańczyka w stół, mełamed obudził wszystkich „dziadków” wołając: „Wstawać owieczki, koziołki kochane”, a my jak muchy wypuszczone z butelki, rozbiegliśmy się na podwórko, a czekały już mamy, siostry i starsze rodzeństwo. Kończył się pierwszy dzień: „katorgi” z niebywałą zdobyczą: znaleźliśmy literę, pierwszą w alfabecie, na pamięć.

W domu zastałem Stasia zapłakanego wraz Antosią, uradowani moim powrotem. Antosia z moim ojcem postanowili, że nazajutrz Staś nie zostanie sam w domu, pójdzie ze mną do Chederu. Mama nie wierzyła, że coś takiego się uda, że nie rozpoznają „goja”, ale tata swoje, że Staś zna nasz język, może nawet lepiej ode mnie, że wśród tych dzieci chyba jest nie mało z jasnymi włosami i błękitnymi oczami. Postanowiono. Kropka...

Ze Stasiem i innymi dziećmi, które już były w domu pobiegliśmy pod górę Czwartek, uzbrojeni w łyżki, sznurki, by wykopywać dziury i szukać ropuchy. Znalezione ropuchy zaprzęgliśmy w uprząż z sznurków i tak biegaliśmy za nimi po całej łączce – aż do zupełnego wyczerpania. Wieczorem opowiedziałem Stasiowi wrażenia z pierwszego, pełnego strachu, dnia nauki.

Jak mama była zajęta w jatce babci, to Antosia zaprowadziła Stasia i mnie aż do podwórka „Szkoły” nie wchodząc do wnętrza. Bała się, że mogą ją zapytać kogo sprowadza do szkoły. Nikt jednak nie zwracał uwagi, że przy mnie siedzi nowy uczeń, który mówi naszym językiem jak wszystkie dzieci. Tak Staś zaczął wchłaniać wszystkie mądrości mełameda razem z nami.

I posuwały się i wbiły do głowy, litera po literze, „Bet”, „Gimel”, „Dalet”, dzień po dniu aż doszliśmy i skończyliśmy ostatnią literę: „Tań”.<sup>4</sup> Zbliżała się Chanuka i mełamed rozpoczął opowiadać o święcie. Jak niewielu zwyciężyło, silnych i mocnych Greków, którzy opanowali w świątynię, jak świątynię oczyszczano w dalekiej zniewolonej „ojczyźnie”. Opowiadał o znalezieniu naczynia z świętym olejem, które miało starczyć na jeden dzień – a paliło się całe 8 dni.

W Chederze jest wesoło, litery już nie męczą, są znane, opanowane, a bajka o zwycięstwie ludu wierzącego w jedyne Boga nad ludem poganów, który wierzył w „bałwany”. W pierwszy dzień Chanuka uczono nas błogosławieństwa na cześć święta, trudne, niezrozumiałe, ale powtarzaliśmy słowo po słowie Mełameda, nie wiedząc o co się rozchodzi. Tego błogosławieństwa nie tłumaczył naszym językiem, ale za to mełamed dał każdemu arkusik papieru i kto rozrysuje najładniejszą Menorę dostanie czekoladkę. Rebe chodził od jednego do drugiego, wybierał najładniejszą, rozrysowaną Menorę, zwycięzcę. Mełamed stanął przy Stasiu, oglądał, oglądał wziął od Stasia rysunek, jako najładniejszy ze wszystkich rysunków.

„Jak się nazywasz gołabczku, koźlątko? A Staś milczy... milczy... a rebe chyba myślał, że z wrażenia dziecko oniemiało... pocałował Stasia w główkę i dał mu czekoladkę. Chanukowe dni były wolne od „nauki” a nasza „bandka” wykorzystywała całe dni na ślizganie na saneczkach, własnoręcznie robione przez rodziców, braci starszych.

<sup>4</sup> Ostatnia litera alfabetu hebrajskiego „taw”, możliwe, że w zjidyszowanej wersji tak na nią mówiono.

W jednym dniu chanukowym przybył do naszego domu Szames i zapytał rodziców: „Jak to się stało, że ja przychodziłem przez prawie dwa miesiące z Gojem do Chederu, kto tu zwariował?” Nie pomogły tłumaczenia ojca, że Staś jest jakby mój braciszek, mówi naszym językiem, jest dobry, grzeczny, że jeden bez drugiego nie może żyć. „Jak tak - orzekł Szames – niech Mojszele także nie zgłosi się do Chederu!”

Mama zarzucała ojcu, jakie głupstwo było w ten sposób Stasia posłać do Chederu. „A nie mówiłam z góry, że tak to się skończy?? - chwaliła się mama. Rodzice poradzili się Antosi i ona orzekła, że ja muszę dalej iść do Chederu, a Staś może się obejść bez Chederu. Pójdzie do szkoły jak będzie miał 7 lat.

Smutno mi było bez Stasia, ale za to, codziennie, po powrocie z Chederu, albo u mnie albo u niego opowiadałem o dziennej nauce. Nie mogłem się jednak dowiedzieć, kto z dzieci wydał naszą tajemnicę w Chederze.

Przeszły lata, już 5-6-cio letnie dzieci, Staś już zna wszystkie błogosławieństwa, jak błogosławić, na chleb, wodę, owoce, jak też modlitwy do spania i wstawania, a mama nieraz mówi, że Staś jest lepszym Żydem ode mnie pod każdym względem. Jak się Staś nauczył np. „Mode ani”<sup>5</sup> deklamowaliśmy modlitwę przed ojcem i mamą, a potem przed Antosią, a wyniki były, że Staś lepiej deklamuje ode mnie.

Jak jedliśmy w domu, to Staś nieraz przypominał mi, że zapomniałem błogosławić na jedzenie, a ojciec zawsze mnie bronił i twierdził, że wielkim „cadykiem” i tak nie będę. Kiedy po zabawach wpadliśmy do Antosi i Staś dostał pajdę chleba ze słoniną – ja także chciałem – ale nie dostawałem. „Tobie, mówiła Antosia, tego jeść nie wolno”. Mnie dała pajdę chleba z jabłkiem albo gruszką, albo lepiej słodką cebulą. Za co mnie ukarano – nie wiedziałem. Już zacząłem Chemesz<sup>6</sup>, a mam zaledwie 7-my roczek, na drugi rok, czeka mnie 1-klasa szkoły, na drugim piętrze, a czy wytrzymam to wszystko? Ileż to można wpychać do głowy?

Ale rebe robi swoje, zaczyna rozdział I-szy, Brejszyt<sup>7</sup>. To już nie literki, ani błogosławieństwa czy modlitwy. Tu mam się dowiedzieć, kim jestem, a jakie zadanie mam w życiu. Głosem miękkim, delikatnym, wyraźnie wymawia każde słowo, słowa nie zwykłe, lecz święte, z koniecznością głębokiego zrozumienia i wiary...

„Brejszyt” – powtórzcie za mną głośno, „Brejszyt” a my za nim „Brejszyt” i jeszcze raz, i jeszcze raz i tłumaczy nam – „na początku” – naszym językiem..., aż do uschnięcia gardła... i następne słowo – „Bara” do nieskończoności i tłumaczy- „stworzył” „stworzył” „stworzył” „et haszamaim”..... „Niebo, niebo”..... „We et hadrec” – i ziemię, ziemię i tak całymi dniami, tygodniami, miesiącami, cały rok<sup>8</sup>. Więc tak to wygląda. Obowiązywać mnie będzie wiara? Więc nie będę mógł sobie co mi się podoba?

Po chumeszu, przychodzą prorocy, Talmud, Raszi, i to wszystko ma obowiązywać? Trochę mi to nie pasowało. Myślałem, że zawsze będę wolny jak ptaszek.

5 „Mode ani” - pierwsze słowa modlitwy porannej: „Skladam Ci dzięki, Królu Wiecznie Żywy, że zwróciłeś mi duszę moją w wielkim miłosierdziu swoim. Wielka jest wiara w Ciebie”.

6 Chumesz – Pięcioksiąg Mojżeszowy.

7 Brejszyt, czyli pierwsza Księga Tory (Chumeszu).

8 Brejszyt to także jej pierwsze słowo: “Bereszit bara Elohim et haszamajim (niebo) we et haarec (i ziemię)”

Nauka już trwała i rano i wieczorem, mało więc zostało na zabawę, do gonitw po górach, łąkach i tak samo Staś chodził do powszechnej i tu nasze I-sze klasy się zetknęły, ten sam elementarz, ta sama książka do rachunków, nawet te same zeszyty.

Po raz pierwszy nastąpiła potrzeba pisania, gdyż dotychczas, od 4-go roku „uczenia” się, nie potrzebny był przyrząd do pisania, ani gdzie pisać. Nauka w Chederze wymagała tylko pamięci, całe strony modlitw, na pamięć, całe strony Chameszu, na pamięć – a tu już w pierwszej klasie – szkoły – przybył ten przyrząd – pióro i kałamarz, oraz „nauka” trzymania pióra „straszego” w rączce.

W pierwszych dniach zeszyt mój wyglądał jak „zbiór” malowideł Picassa, każda napisana litera – kleks, każda stronica – obraz i to trwało bardzo długo, aż do opanowania nabierania atramentu na stalówkę.

Przedmioty obowiązujące w pierwszej klasie to: Język żydowski, 2. Język polski, 3 rachunki.

Język żydowski? Nie pojmowałem czego się można tu uczyć, przecież mówię tym językiem tak jak tata, mama, babka, nawet Masza – siostrzyczka władała dość ładnie, chociaż śmiesznie – tym moim językiem.

Okazało się jednak, że tak nie jest. Rudy nauczyciel od języka żydowskiego udowodnił nam, że mówimy jak sroki, a nie jak ludzie. Na każde nasze słowo miał swoje słowo, prawdziwe, ładnie brzmiące i tak na każdej lekcji poprawialiśmy nasz język - ale tylko w zeszycie. Pytałem rodziców, czy są dwa języki żydowskie? Ojciec się śmiał i rzekł, że są trzy języki. Jeden, to ten którym my mówimy, tutaj, w Lublinie, w Lubelskim. Drugi język, jaki uczy was nauczyciel, to jest język „Litwaków” niby taki „do.....” a trzeci język, jest święty język – ten co się uczysz w Chederze, ale nikt go nie rozumie.

Dodał, że są ludzie, którzy mówią i rozumieją ten trzeci język – to jest hebrajski, język do codziennego użytku, ale nie dla nas. Wiele z tego nie rozumiałem, ale udawałem przed ojcem, że rozumiem. A miałem zaledwie 8-my roczek.

Zupełnie inaczej wypadło pierwsze spotkanie z nauczycielem języka polskiego. Wiedziałem, że ten język używa Antosia ze Stasiem, a że to nazywa się język polski? Nie miałem pojęcia. Wiedziałem, że „goim” mówią swoim językiem, ale Antosia i Staś mówili przecież przeważnie naszym językiem. Więc co to za język?

Nauczyciel ten, elegancko ubrany, z ładną fryzurą, w krawacie, okularami które trzymały się tylko na nosie - wszedł jakby wojskowym krokiem, niby przywitał nas, ale nie zrozumiałem ani jednego słowa. Nie rozumiejąc go – podszedł do pierwszego ucznia, podniósł zeszyt, otwartym, palcem pokazał na linie w zeszycie, oraz podniósł pióro mówił co pokazuje – a my nie, ani słówko nie rozumieliśmy... Podszedł do tablicy i narysował literę, którą nie znaliśmy „a” mówił, „a” „a”. Klasa straciła cierpliwość i dzieci, wszystkie zaczęły wrzeszczeć – ojstajczen! Ojstajczen<sup>9</sup>, a on swoje, gada, gada... i zaczęła się awantura. Zaczęliśmy go obrzucać naszymi paltami, wstaliśmy i zaczęliśmy go pchać w stronę drzwi. Na ten hałas zbiegło się całe kierownictwo z parteru i zaczęli nas siłą usadawiać na miejscach. O co chodzi, pytał gabaj.

---

9 Tłumaczyć (jid.)

A my wszyscy razem, krzykiem... „On mówi do nas, a my nie wiemy, co on chce od nas. On nie chce tłumaczyć” swoje gadanie. Przecież Torę nam tłumaczą na nasz język... a on nie może? On nie jest „a jid”?

Gabaj, cierpliwie nam tłumaczył, że żyjemy w Polsce, a w Polsce, oprócz własnego języka trzeba znać język kraju, bo jak ktoś zechce uczyć się na doktora, adwokata, felczera – to tam, w tych szkołach, co się nazywają „Uniwersytety” nie uczą naszym językiem, tylko polskim i dodatnie... „A mój tata, mama, babcia, ciotki, wujkowie, krzyknąłem, nie znają ten język, to co - nie żyją?” Gabaj, cierpliwie stał i tłumaczył, tłumaczył, a nauczyciel, z rozczochną czupryną stał, jakby wstydliwie u boku gabaja... widocznie, że rozumiał wszystko co gabaj mówił, ale przez cały rok szkolny żydowskiego słowa od niego nie słyszeliśmy. Niemniej jednak z uznaniem na koniec roku, cała klasa zebrała grosiki, by kupić ładną bombonierkę, wręczyć mu, już z życzeniami, aczkolwiek skromnym, ale w języku, który siłą nam wbił do tępych głów.

W drugim roku – byliśmy z nim zaprzyjaźnieni w trzecim pokochaliśmy, a w czwartym, wdzięczni byliśmy za wprowadzenie w arkana dziecięcej literatury Marii Konopnickiej i Elizy Orzeszkowej. Był to dla mnie wstęp do „polskości”.

Mając 8 lat mama urodziła mi braciszka i nadano mu imię Herszele, po dziadku, ojcu tatusia. Tym razem nie jak z siostrą Maszą – Herszele bardzo lubilem i zawsze po powrocie ze szkoły i Chederu – byłem przy nim, zabawiałem, robiąc mu różne miny by go rozśmieszać.

W pierwszą wiosnę, mama, po kilku dniowym praniu, wzięła rano Herszele na łąkę naprzeciwko naszego domu, a już mieszkaliśmy po numerem Ruska 52, u babci, w jej domu – położyła go na kołderce, na trawie i wieszała bieliznę do wysuszenia.

Wieczorem Herszele gorączkował i nikt w domu nie przypuszczał, że może Herszele przeziębził się rano na łące. Na drugi i trzeci dzień, babcia, ciocia Mindla i ciocia Golda, które mieszkaly obok nas zaczęły radzić, co mu dać pić, co jeść, ale stan jego pogorszył się z dnia na dzień. Wreszcie wezwali felczera, opukał go trąbką, badał go z przodu i tyłu. Coś to tłumaczył rodzicom, wypisał coś na kratce. Postanowiono, że ja pobiegnę do apteki po lekarstwo, felczer mi wyjaśnił jak tam dojść, prosto, do końca Ruskiej, na rogu jest ta apteka a na drzwiach jest narysowany wąż.

Nigdy tak daleko nie odszedłem z mojej „Krainy” Błotniki, ale biegłem, po drodze pytając o aptekę. Jeszcze trochę, odpowiadali mi ludzie, aż doszedłem. Wchodząc, zapomniałem powiedzieć dzień dobry, a tam pan, w białym fartuchu o coś mnie zapytał, a ja zaledwie znałem tylko kilka liter w tym języku. Podąłem mu kartkę przeczytał, dał panience za stołem i coś jej powiedział. Ta panienska napełniła brązową flaszeczkę z jakimś płynem i oddała panu z wąsem. Podąłem panu monetę, popatrzył na mnie, coś wyrzekł, a zarumieniony nie rozumiałem go i oddał mi monetę wskazującym ruchem bym szybko pobiegł do domu.

Herszele dostał coraz łyżeczkę płynu a mnie dręczyła myśl... co myśmy robili nauczycielowi od języka polskiego? I dlaczego, przecież do prawdy będzie trudno żyć tylko z rodzinnym językiem... ale najważniejsza troska była teraz – zdrowie Herszele. Flaszeczka z płynem wypróżniła się a Herszele po prostu się zmieniał z godziny na godzinę, wysoka gorączka i straszny kaszel... Nad ranem obudził mnie



straszny krzyk i płacz mamy... Wyrwała mnie z łóżeczka, ubrała i za rękę ciągnęła mnie do niedalekiej bożnicy, gdzie w soboty, nieraz tata szedł do modłów.

W bożnicy było już kilku modlących i mama coś mówiła Szamesowi, a ten otworzył szybko „Aron-Kodesz” gdzie stały zwoje Tory i mama błagalnym płaczem, prosiła Boga, by się zlitował na maluszkim Herszele. Obecni także zaczęli odmawiać modlitwy za zdrowie Herszele, Ci ludzie znali ojca i mamę. Szames uspokajał mamę, że wszystko w rękach wiekuistego, trzeba polegać na „Nim”, na Bogu. Wchodząc do domu zastaliśmy ojca przy łóżku Herszele, cicho ronił łzy, płakał i cicho wyrzekł – „Nie ma Herszele”, usiadł na swoim szewskim zydelku i cichutko płakał.

Zbiegły się siostry mamy, sąsiedzi i wreszcie przyszedł człowiek z brodą, w czarnym długim chałacie z małą skrzyneczką na ramieniu, podszedł do łóżeczka, popatrzył na Herszele i powiedział na głos „Burech dain emes”<sup>10</sup> a wszyscy za nim cichym głosem. Rozebrał Herszele i jak widziano jego plecki, czarne, jakby spalone – ze strachu wybuchłem histerycznym płaczem, a wszyscy obecni zajmowali się tylko mną, by mnie uspokoić. Ostatecznie, uspokoiła mnie Antosia, która weszła z Stasiem na wieść o śmierci Herszele. Ze Stasiem skryliśmy się za szafą, płacząc aż wszyscy ludzie poszli za tym z brodą, niosąc w skrzynce Herszele do pogrzebania na cmentarz. Zostaliśmy, Staś, ja, Masza i babcia. W tym dniu nie poszła otworzyć jatkę.

Po pewnym czasie, zaczęły mnie niepokoić myśli o śmierci Herszele. Komu na to zależało? Jak od roju os, nie mogłem się wyzwolić od nawału myśli: dlaczego? Dlaczego? Przecież od dzieciństwa mówiono zawsze, słyszałem i rozumiałem, że Bóg nasz jest potężny, wszystkie modły i błogosławieństwa głośno o jego potędze. On stworzył świat (fakt, że świat jest). On stworzył pierwszych, żywych ludzi (fakt są). Rozmawiał z Kainem, Noachem, z Abramem, Mojżeszem, znaczy, że on gada, a jak gada to chyba i słyszy. Przecież w Chederze uczą, że wszystko jest w jego mocy, to dlaczego nie odpowiadał na błaganie mamy? Jak w kalejdoskopie gonili myśli, pytania, ale żadna odpowiedź nie uspokoiła mnie. Przecież jednak dzieci w Chederze w to wszystko co rebe mówi – wierzą. A ja? Tylko pytania, na które wszyscy mówią, że trzeba wierzyć. A ja po prostu nie mogę to przyjąć. Nawet jak pytałem Antosię, to ona tak samo mówiła, że trzeba w coś wierzyć i tyle nie pytać.

Mimo moich dziecięcych rozmyśleń, życie nie stało w miejscu. Wciąż nowa wiedza nabyta w szkole, rano, a po południu w Chederze, gdyż po ukończeniu 4-letniej szkoły n... świeckich – zapisano mnie do szkoły powszechnej na Czwartku, a to już był dla mnie nowy zupełnie świat. Tu po raz pierwszy przypomniano mi kim jestem.

W Chederze już rozpocząłem wnikać w głębiny Talmudu. Po pięknym roku nauki o prorokach i historii Królestwa, od Szaula, Dawida, Salomona, aż do utraty kraju i wolności - wdepnąłem na grunt prawa, wymiaru sprawiedliwości oraz postępowania.

Nigdy sobie nie wyobrażałem, że w tak młodym wieku, można tyle nauk wcisnąć do naszych małych mózdków. Kiedy mama zimową porą, w nocy, przynosiła mi do Chederu ugotowane kartofle i czekała do

---

10 „Burech dain emes” - powiedziane „po hebrajsku, ale w jidysz”, błogosławieństwo, formuła modlitewna: „Błogosławione Twoje słowo (wola)” „Emet” to prawda, ale tu w takim znaczeniu.

przerwy, Reb Tuwia, mój melamed Talmudu, zawsze witał ją z uśmiechem i powiedział: „z Mojszale wyrośnie – Tamid chuchem<sup>11</sup>, wierny sługa Boga”. Trochę się omylił, ale mama przyjęła to jak dar Boży (ojciec o wiele mniej).

Ale Bandka nasza była już więcej obeznana z bliskim otoczeniem, już mieliśmy styczki z „bandą” na Ruskiej, tak daleko dostaliśmy się to z jednej strony, w kierunku Ruskiej, Szerokiej, aż do Kowalskiej. Wszędzie wiedzieli, że my bandyci z Błotnik.

Pod koniec lata zakonnice wykopały kartofle, marchew i kapustę. Kiedy pola były opuszczone, w wolnych godzinach popołudniowych wyszukaliśmy niewykopane kartofle, głąb kapusty, no i marchew się znalazła.

Wieczorem, po powrocie z Chederu, zebraliśmy suche badyle, rozpaliliśmy ogień i zaczęło się upiekanie kartofli. Prawdę mówiąc, cała nasza „bandka” nie była nigdy przejeżdżona, bieda „piszczala” w naszych domach a tu, pod dostatkiem kartofli, wszystko gotowe. Widziały to dzieci z Siennej i kiedy pewnego dnia zastaliśmy ich na „naszym” polu szukających kartofli, napadliśmy na nich, zbiliśmy ich i zmusili do ucieczki. Następnym razem, jak urządziliśmy taką „ferajną” a z daleka stały znów te przepędzone dzieciaki. Coś mi zadrgnęło w sercu i myśl, dlaczego poprzednim razem postąpiliśmy tak, jak nie trzeba postępować z bliźnimi i wypłynął werset mówiący „Weochawta etraeena kenocha”<sup>12</sup>, mówiłem to mojej bandzie i powiedzieli „Idź Gałech (moje przezwisko – Mojsze - Gałech) wezwij ich”. Poszedłem do nich... a oni zaczęli uciekać. Ryknąłem: „Stać! Bo strzelam!” I oni stanęli trzęsąc się ze strachu, wziąłem ich, około 12 dzieciaków, do ogniska i zaczęła się „Seuda”<sup>13</sup> i to było jakby zawarcie przymierza „Błotnik” z dziećmi z Siennej, Jatecznej i trochę z Krawieckiej, przymierze, które trwało już w koleżeństwie do wybuchu wojny 1939 r.

Tak jak nasza „bandka” Symche – cygan, Mordke – szojchet<sup>14</sup>, Kiwa – belka, Lejzor – tłuścioch, kuzyn mój, Mosze – Pele i reszta, tak u nowych sprzymierzeńców był – guzik, flondra, kicik, byk, itd. przezwiska.

Pamiętam, miałem wtenczas 8 lat wujek mój, Zalman, miał ogromną platformę i woził z Młyna Krausego mąkę do piekarni i sklepów – zabrał mnie, pierwszy raz na „wycieczkę” do Młyna. Tam dowiedziałem się, że Młyn stoi przy rzece, która płynie „skądś to” przez duże łąki na Kalinowszczyznę. Postanowiono wybrać się do rzeki, a to było bardzo daleko, nigdy w zasadzie nie oddalaliśmy się od naszych Błotnik. Wybraliśmy się całą „Bandką” ze Stasiem na czele, gdyż wiedzieliśmy, że stamtąd przychodzą dzieci do przykościelnej szkółki na Ruskiej, a my nie potrafimy z nimi rozmawiać, bo jeszcze nie opanowaliśmy języka polskiego.

Weszliśmy do rzeki. Kto umiał pływać doszedł aż do tamy pod młyn. Ja pływakiem wówczas jeszcze nie byłem – pluskałem się na wybrzeżu. Kilku chłopców z tej dzielnicy widziało nas i urządzili nam „towarzystwie” przyjęcie. Całe nasze ubranie zabrali, zawiązali rękawy i spodenki, zamoczyli w wodzie.

11 Czyli Talmid chochem (chacham, chuchem, etc.) – mędrzec talmudyczny.

12 „We – ahawta et reacha kamocho” - Kochaj bliźniego swego jak siebie samego.

13 Seuda = wieczerza.

14 Szojchet = szochet, rzeźnik rytualny. Tu po prostu jako przezwisko.

Kiedy wyszliśmy z wody, bieглиśmy nago bowiem ubrania nie można było założyć, „Bohaterzy”, siedząc na murze jakiejś fabryki, obrzucali nas kamieniami i wyzywali nas, ale my nie wiedzieliśmy o co im chodzi. Staś, stanął po murem, nie bojąc się kamieni i widocznie przeklinał ich i tych przekleństw nie znaliśmy. Po drodze Staś nam opowiadał, po naszymu, co krzyczeli. Określili nas jako psy parszywe, mordercy ich Boga itd. Była to nowość dla mnie, dla nas, że istnieje taka nienawiść ludzi do ludzi, dzieci do dzieci. Od tego wypadku, aż do wakacji, jak żeśmy rano chodzili do szkoły, siedzieli na parapetach okien w klasach i obrzucali nas śmieciami, zgniłymi jabłkami (na pewno zebranymi w kościelnym sadzie).

Często przychodził do nas policjant, dzielnicowy, który obchodził nasze Błotniki. On służył z ojcem w carskiej armii i także razem byli na wojnie z bolszewikami. Raz zapytałem go (on z ojcem rozmawiał po rusku i po żydowsku), dlaczego dzieci z pobliskiej szkółki obrzucają nas śmieciami i kamieniami i opowiedziałem mu o ich poczynaniach nad rzeką - mówił, że to po prostu są łobuzy i nie wszystkie dzieci w tej szkole są takie. Ale przyrzekł, że porozmawia o tym z Księdzem. Pogadać to pogadał, ale śmieci były dalej rzucone na nas.

Nadeszły wakacje, codziennie kapaliśmy się. Staś zdecydował, że my w pierw wykapiemy się a on będzie dyżurował nad naszymi „szmatami” a potem on się wykapie a my czekać będziemy. Za to Staś był strasznie obrzucony przez ukrywających się na murze „wyzwiskami” „parszywa sługa Żydów”, „brudas”, „jedzący żydowską macę” itd. Postanowiono, a pomysł był Stasia, by wypowiedzieć im wojnę, z rozpoczęciem nowego roku szkolnego. Staś pamiętał moje „lekcje” o wojnach Żydów z poganami nim weszli do Obiecanej Ziemi. Razem ze Staszkiem omówiliśmy plan wojny, przygotowanie broni i miejsce walki.

Wolne dni od nauki – jeden z „bandki” Lejzor tłuscioch wysunął propozycję by zarobić pieniądze dwoma sposobami.

1. Szukać dwójkami na najbliższych terenach Błotnik, różne śmiecie, szmaty, żelazo, kości i sprzedawać. Propozycja ta bardzo nam przypadł do gustu. Śmiecie te sprzedano do składu na Siennej.

2. Ojciec Lejzora – tłusciocha na lato wydzierżawiał Sad „Knypikos” na Błotnikach. Gdy nadszedł okres zbiorów czereśni, wiśni, porzeczek i agrestu tego było bardzo dużo – postanowiliśmy wynająć się do zbiorów, gdyż nie było rąk do pracy.

W przeciągu tygodnia ogołociliśmy wszystkie drzewa i krzaki, dodatkowo nazbierano masę kości z przed jatek mięsa wołowego na rynku, niedaleko Błotnik. W „kasie” mieliśmy ponad 10 złotych, z trudu 15 „bohaterów” - trud i praca jednego tygodnia.

Na co wykorzystać te pieniądze? Radzono i radzono. Staś opowiedział o kinie „Venus”, które wyświetla filmy „cobbojskie”. Cała nasza „bandka” nie miała zielonego pojęcia o kinach, filmach, nie wiedzieliśmy „czym się to je”. Staś, ponieważ miał ciotkę na Zamojskiej, chodził tam często i stąd wiedział o kinie, filmach, chociaż, że w tej „instytucji” ani raz nie był. W najbliższą niedzielę „wszyscy” pod przewodem Stasia, wyruszyliśmy, Ruską, Lubartowską, kawałek Krakowskiego Przedmieścia, w lewo i do Kina Venus.

W tym rejonie jeszcze nigdy nie byliśmy. Funkcję zakupu biletów spełnił Staś, bo wstydziliśmy się naszą „łamaną” polszczyzną zwrócić się do kasjera. Oglądaliśmy film z „Tom-Miksem”, ale czytać napisów nie udało nam się, za szybko te napisy znikwały.

Odkryliśmy ważną rzecz. Przy wyjściu z sali na przerwę na podwórko, każdy dostaje skrawek żółtego papieru z zamazaną pieczętką. Wchodząc spowrotem, oddaje się kontrolerowi ten świstek papieru. Po wyjściu z kina, postanowiłem dostać się na to podwórze, szukać ten brązowy papier. Udało się wejść i wychodząc do chłopców, wykrzyknąłem – znalazłem!! Pokazując im znaleziony papier. W domu, z kartofla zrobiłem pieczętkę, z podobnym atramentem robiłem masę „Kontramarek”. Dzięki tym „kontramarkom” oglądaliśmy przez cały miesiąc filmy Cowbojskie, o Jezusie, Świętej Marii Magdalenie i innych świętych walczących z diabłami. To wszystko bez grosza. Weszliśmy, z podwórka podczas przerw, widzieliśmy tylko drugą część filmu. Jak się światło zapaliło – ludzie wychodzili, ukrywaliśmy się pod ławkami, aż do nowego seansu, czyli widzieliśmy półtora filmu. Po jakimś czasie staliśmy się podejrzanymi „klientami” i przy przerwie pewnego dnia ktoś znalazł Lejzora – tłuściocha z tyłkiem wystającym z pod ławki.

To był koniec naszych „wypadów” do Venusa. Z wstydem wyłowiono nas z pod ławek i kopniakami w tyłek przepędzono z sali. Ale... to nie był koniec naszych wybryków. Zaczęliśmy się wypuszczać dalej, do kin „Corso”, „Apollo”, szpiegować drogi dostawania się do kina... W „Corsie”, w „Apollo” nie było możliwości, ale za to w kinie przy głównej poczcie na Krakowskim Przedmieściu znaleźliśmy na tylnym podwórku kina, żelazne schody do drzwi kina. Ale schody te zaczęły się nie na ziemi, lecz jakieś dwa metry nad nią. Dokonano próbę, jeden z nas na rękach i kolanach, a Symche – Cygan dostał się na schody, cicho podkraść się pod same drzwi, były otwarte i zniknął. Czekaliśmy, a jego nie ma. Podeszliśmy z frontu kina, przy kasach, czekaliśmy, aż ludzie wyszli z seansu, wśród nich także Symcha Cygan. Opowiadał, że drzwi prowadzą na galerię, tam nie ma dużo ludzi, ani kontrolerów. Tak, do końca wakacji mieliśmy darmowe kino, bez wykrycia „włamywaczy”.

Rozpoczął się nowy rok szkolny, uzbrojenie do wojny z dziećmi przykościelnej szkółki było gotowe. Zrozumiałe, że taktyka była opracowana. Wychodząc ze szkoły przechodzili przez nasze domki na Kalinowszczyznę. My ułożeni na wysokiej, ponad trotuar - łączki, pod samą wyżynę Czwartek, co kilka metrów, każdy z łukiem i strzałami, na końcu kawałeczki trzciny i gwoździami – flekami na końcu strzały (fleki duże od ojca wzięte). Rozkaz był, pierwszym dać przejść, na następnych posyłać strzały z flekami (i szwistem przez trzcinę) zrobiło się kłębowisko a głównie szukaliśmy ostatniego, Kulawego chłopca, który najbardziej znęcał się nad nami przy rzece. Stasio tylko jego szukał, zbiegł z łączki dopadł do Kulawego i bił go z dziką nienawiścią.

Nazajutrz przyszedł policjant, kolega ojca, rozmawiali chwilę, po czym zaczął mnie wypytawać: kto, co, jak, dlaczego? Już plecilem i moim językiem i językiem policjanta, polskim. W końcu policjant orzekł, że to nie jest właściwe zachowanie, ale kamienie i rzucanie śmierci – urwało się na zawsze.

Lata minęły, co raz mniej poświęcaliśmy czasu zabawom, wybrykom. Szkoła 5, 6 klasa wymagały coraz to więcej czasu, jak też uciążliwym stała się nauka wieczorami w Chederze. Ona wymagała niebywałych sił.

Zapamiętywanie całych dzieł prawnych Talmudu i Oukalus<sup>15</sup> – greckiego tłumaczenia Tory. Wszystkie przedmioty szły mnie normalnie. Najwięcej trudności sprawił mi język polski. Mimo usilnych starań nie mogłem pozbyć się skrzeczącego (jak polskie dzieci określiły – kudłackiego) akcentu, nic nie pomogło. Aczkolwiek pisałem należycie – to w mowie zamiast Książ – wyszedł Ksządz, Papież – Papierz, Rzym – Żym, Ciele – Czełę, itd. Przeszły lata i dopiero w wieku lat 15-16, stopniowo opanowywałem język polski.

Po zakończeniu 7 klas, zaczęto w domu mówić o zawodzie. Ja myślałem, że usiądę przy ojcu, uczyć się szewstwa. Wizualnie znałem wszystkie procesy produkcji obuwia, ale dratwy w rękę nie trzymałem ani szpilerem dziurkowania podeszwy nie próbowałem. Mama kategorycznie sprzeciwiała się, ojcu nie zależało, bym został szewcem. O dalszej nauce w Chederze lub w Jeszywie słyszeć nie chciałem. Wprawdzie mój Rebi Tuwia przewidywał, że będę „wybitnym” znawcą Tory, ale zapal do tego dawno już zaczął wygasać.

Nie bałem się już przy jedenastu latach stawiać Rebemu „apikoresowe”: pytania, „Skąd”, „Jak”, „Dlaczego” a Reb Tuwia mówił swoim łagodnym głosem: „Nie grzesz Mojszele, nie grzesz dziecino”.Cały urok Tory, „Nowyim” „Ktuwim”<sup>16</sup> od dawna stopniowo się ulatniał i myślałem, że proces ten zapoczątkował się od śmierci Herszele. Uważałem, że Bóg za mocno nas skrzywdził.

Więc zaczęto szukać miejsce dla mnie bym zaczął opanować krawiectwo. Jednocześnie zaprzestałem kłaść „Tefilim”<sup>17</sup> modlić się „Szacharit”<sup>18</sup>. Stopniowo, nie znalazłem czasu na pójście w sobotę na modły, tu mówiono więcej o miękkiej skórze, twardej skórze, aniżeli o modlitwie.

Przy pracy u dwóch wspólników, jeden z nich, mąż córki wuja Szlomego, brat ojca w warsztacie na Grodzkiej – cały dzień mówiono o polityce, a ta polityka wprowadziła mnie do Związku Zawodowego Pracowników „Igły” przy ulicy Szerokiej. Biblioteka bogata Związku, połykanie książki jak gorące „bajgelech”. Przede mną otworzył się nowy, ogromny świat. Daleki od Tory, daleki od Boga, daleki od „Micwes”<sup>19</sup> Stałem stopami na ziemi.

W tym czasie wyprowadziliśmy się z Błotnik na ulicę Nadstawną 37, ale co Sobotę odwiedzaliśmy Stasia, Antosię (Staś poszedł do wujka pracować jako kowal), babcię, ciotki Mindle, Golde a z „bandką”, która się też uczyła rzemiosła, krawiectwa, stolarstwa, złotnictwa (żydowskie zawody) spotykaliśmy się codziennie rano przy Bramie Grodzkiej, skąd rozchodziliśmy się na swoje miejsca pracy. Wieczorami spotykaliśmy się w lokalu Związku Zawodowego albo w bibliotece związkowej na Szerokiej 18. W bibliotece otrzymałem „edukację” o literaturze, nie mniejszą aniżeli w gimnazjum. Trzeba jednak było to wszystko przenieść na platformę „polską” dokonałem już sam zaczynając połykać Żeromskiego, Struga, a najmilej Konopnicką i Orzeszkową, już nie dziecięce utwory, te poważniejsze już.

---

15 Tzw. Targum Onkelosa - aramejski przekład Pięcioksięgu z II w. n. e.

16 „Tora, Nawiim we ketuwim” – kanon żydowski, zwany TaNaCh tworzą: Tora, Naw(b)im – Prorocy i K(ch)etuwwim – pozostałe pisma.

17 Dwa pudełeczka z 4 fragmentami Pisma: Wj 13, 1 – 10; 11, 16/ Pwt 6, 4 – 9, 11, 13 – 21. Przywiązywane do czoła i lewego przedramienia.

18 Szacharit – modlitwy poranne, długie, składające się z błogosławieństw, psalmów, Szma, hymnów etc.

19 Micwy, czyli dobre uczynki.

Z literatury rosyjskiej, francuskiej, amerykańskiej (Drejzer) wyniosłem poczucie związku z problemami, jak bieda, głód, ucisk, poczucie solidarności z tymi społecznościami, na wielkim świecie. Bibliotekarz, wybitny polonista, tow. Hersz wprowadził mnie i innych w piękno Mickiewicza, Słowackiego i wiele innych wybitnych pisarzy polskich.

Za każdy zarobiony grosz (z odniesienia do klientów ubrania) kupowałem książki, a ponieważ w nowym, małym mieszkaniu nie było miejsca na książki, trzymałem je na domowym „stryszku”.

Myśli me oddane zostały Polsce, tylko Polsce, ale Polsce socjalistycznej, wolnej, demokratycznej.

Beer Szewa, lipiec 2000